

Kathy Tyres

NIE GRAMY NA WESELACH

Opowieść orkiestry

Przekład Jarosław Kotarski

Przestronna i mroczna Sala Przyjęć w pałacu Jabby wyglądała jak krajobraz po bitwie i śmierdziała potem oraz wszelkiego rodzaju używkami. Wewnętrzne kraty uniesiono i wszędzie widać było leżące postacie – tancerki, strażnicy, totumfacy, łowcy nagród, leżeli bądź na kupie, bądź indywidualnie, jak komu wygodnie czy gdzie kto padł. Tu Jawa i człowiek spali obok siebie, tam Arcona obejmował Weequaya, a większość do tego chrapała w rozmaitych tonacjach. Był to ranek po kolejnej wesołej nocy, które w pałacu Jabby stanowiły regułę.

Kraty przeważnie zamykano, dzięki czemu rzezimieszki nie miały tu dostępu, ale też stanowiły przeszkodę w pospiesznej ewakuacji. Najgorszym z rzezimieszków był zresztą gospodarz, ale ponieważ Jabba Hutt lubił dobry swing, płacił nam całkiem dobrze. Nawet machał ogonem do rytmu. Swojego, ma się rozumieć, nie naszego.

Aha, zapomniałem: tworzymy zespół Modal Nodes i jesteśmy członkami Międzygalaktycznej Federacji Muzyków. Znanymi członkami. No i jesteśmy (albo byliśmy) nadworną kapelą Jabby. Co prawda nie udało mi się dostrzec u niego uszu, ale faktem jest, że lubił dobrą muzykę. Zresztą lubił także zarabiać pieniądze, a zadawanie bólu sprawiało mu znacznie większą przyjemność niż muzyka. Teraz spał wraz z innymi, toteż pakowaliśmy instrumenty starając się nie robić hałasu. Włożyłem Fizzz (dla muzycznych tępaków doremiański *besniguel*) do cienkiego, ale wytrzymałego pokrowca, pasującego niczym rękawiczka i czekałem, aż pozostali uporają się ze swoimi instrumentami.

Wszyscy jesteśmy Bith. Na wypadek gdyby ktoś nie wiedział: Bith charakteryzują się wysoko sklepionymi, pozbawionymi owłosienia czaszkami (uznawanymi za dowód wysokiego rozwoju ewolucyjnego) i ustami tak ukształtowanymi, że stanowią idealne dopełnienie instrumentów dętych. Dla nas dźwięki są czymś tak naturalnym i wyraźnym jak dla innych ras barwy.

Szefem zespołu jest Figrin Da'n, grający na Rogu Kloo (żeby złapać dowcip, trzeba znać bithoński). Instrument ten ma długość dwa razy większą od mojego Fizzza i daje głębsze i bardziej pastelowe formy, choć nie takie słodkie. Tedn i Ickabel to fanfarzyści, Nalan gra na Bandfilku (czyli na dzwonach rogowych), a Tech na Ommni.

Techa łatwo rozpoznać, bo ma mało przytomny wyraz oczu, czemu trudno się dziwić – gra na Ommni wymaga prawdziwego geniuszu. Tech nienawidzi także Figrina, czemu też się trudno dziwić, jako że w zeszłym sezonie Figrin wygrał od niego Ommni w *sabacca*.

– Doikh – odezwał się Figrin ocierając pot z czoła (dzień był jak zwykle upalny, a termostat pałacowego klimatyzatora najwyraźniej wymagał naprawy).

– Czego? – warknąłem, odruchowo przyciskając do siebie Fizzza.

– Nie zagrałbyś partyjki?

– Wiesz, że nie gram – odparłem opryskliwie: nie miałem ochoty ani na grę, ani na pogawędkę.

– Ty, Doikh, jesteś szurnięty.

– Wszyscy muzycy są szurnięci.

– Ty jesteś szurnięty bardziej niż przeciętny muzyk. Kto kiedy słyszał o muzyku nie grającym w karty?

Może i nikt nie słyszał, ale ten Fizzz towarzyszył mi już w sześciu systemach, sam go reperuję i nie mam zamiaru stawiać go w jakiejś bezsensownej, karcianej rozgrywce. Nawet żeby zrobić przyjemność Figrinowi Da'n, szefowi zespołu, który krytykuje każdą źle zagraną nutę i jest właścicielem wszystkich (pozostałych) instrumentów. No i rządzi nami jak oficer.

– Wiesz, że nie gram – powtórzyłem. W wejściu pojawiła się ciemna postać.

– Figrin – poleciała. – Odwróć się. Powoli.

Poruszający się na gąsienicach droid miał wąską talię i szerokie bary. Był to najnowszy model – E522 Assassin, ale zapamiętałem go, bo wkrótce po tym, jak zaczęliśmy grać u Jabby, uratował mi życie. Jeden z ludzi stanowiących obsługę barki Jabby oskarżył mnie o wyżeranie przyszczatych ropuch z prywatnego zbiornika szefa; na szczęście automatyczny zabójca potwierdził moje alibi. Dałem sobie wtedy słowo, że nigdy więcej nie będę zadawać się z ludźmi. Nie był to zresztą koniec całej historii – Jabba miał taką ochotę rzucić kogoś rancorowi, że z braku winnych kazał wrzucić robota, wysmarowanego krwią i wnętrznościami zwierząt. Co prawda sprawiedliwiej byłoby wrzucić tam tego, który mnie fałszywie oskarżył, ale Jabba i sprawiedliwość rzadko chodzili w parze. Rancor naturalnie nie był w stanie zjeść droida, ale uczciwie próbował – gdy skończył zajmować się E522, robot nie nadawał się do niczego. Przynajmniej wszyscy tak myśleli – teraz się okazało, że został naprawiony, tyle że obie kończyny górne urywały się na stawach łokciowych, czyli zdemontowano mu podstawowe uzbrojenie. Co bynajmniej nie znaczyło, że jest bezbronny – droidy-zabójcy zawsze mają zapasowe uzbrojenie. W dodatku nie miał zamocowanego ogranicznika. Jeśli przybył, żeby się zemścić, to nawet nie miałem świadków. Wszyscy spali jak zabici.

– Figrin Da'n? – powtórzył basem w tonacji zielonkawej.

– A po co ci on potrzebny? – spytał Figrin, starając się brzmieć bezbarwnie.

Zacząłem żałować, że nie mam miotacza. Prawdę mówiąc i tak na nic by mi się nie przydał, ale zawsze raźniej.

– Mam dla niego wiadomość. I nie musisz się bać: moje oprogramowanie zabójcy zostało wymazane, a broń zdemontowana. Nowy właściciel zrekonstruował mnie i używa jako posłańca.

– Nie pamięta nas – odetchnął Figrin po bithańsku. – Pamięć też mu wymazano.

Też się uspokoiłem i przypomniała mi się stara zasada dotycząca droidów-zabójców: „Nie bój się tego, którego widzisz”. Poza tym zawsze lepiej mi szło współzycie z droidami niż z większością ras rozumnych. Zwłaszcza z ludźmi. Rozbrojony E522? Tak bym się czuł, gdyby mi uratowano życie amputując wszystkie palce...

– Kto jest twoim nowym właścicielem? – spytałem.

Odpowiedział mi syk pełen białego szumu.

– Kto? – powtórzyłem szeptem.

– Lady Valarian – padła równie cicha odpowiedź i przestałem się dziwić.

Val, jak ją potocznie zwano, była główną konkurentką Jabby w porcie Mos Eisley. Hazard, handel bronią i informacjami – działali w tym samym, tyle że ona na mniejszą skalę, ponieważ niedawno pojawiła się na Tatooine. Stąd robot z odzysku.

– Czego chce? – spytałem nieco uspokojony. – Pragnie was wynająć, żebyście zagrali na jej ślubie w Mos Eisley. Konkretnie w hotelu „Lucky Despot”.

– Nie gramy na weselach – odparliśmy z Figrinem wyjątkowo zgodnym chórem.

I trudno nam się dziwić – taka impreza to dwa do trzech dni (w zależności od rasy) plus czas

potrzebny na opanowanie nowej muzyki, a traktują cię jak odtwarzacz. Każą powtarzać w kółko te same kawałki, grać kretyńskie fanfary, a w końcu wszyscy tak się urzną, że nie słyszą, czy ktoś gra, czy nie. I to wszystko za połowę normalnej stawki, o satysfakcji nie wspominając.

– Lady Valarian znalazła oblubieńca z własnego świata – dodał droid, wpatrując się w Figrina.

Dobrze, że nic nie piłem, bobym się zakrztusił. Jedyńm stworem paskudniejszym nawet od Hutta jest Whiphid – przerośnięty, pokryty śmierdzącą szczecina prymityw z żółtymi kłami. Wyobraziłem sobie, co będzie, jak zobaczy Tatoonie. Musiała mu naobiecować nie wiadomo jakie luksusy i wspaniałe polowania.

– Macie grać jedynie na oficjalnym przyjęciu za trzy tysiące kredytów – ciągnął droid. – Transport i lokum zapewnione, jedzenia i picia ile chcecie. I pięć przerw podczas przyjęcia.

Trzy tysiące kredytów?! To zmieniało postać rzeczy – za swoją część mógłbym założyć własny zespół.

– A gry hazardowe? – spytał Figrin.

– Poza czasem występów, oczywiście – odparł droid. Zabręczałem, chcąc zwrócić uwagę Figrina – Jabba podpisał z nami kontrakt na wyłączność i występ u konkurencji mógł mu się nie spodobać. A jak Jabbie coś się nie spodobało, to ktoś ginął. Figrin jednak mnie zignorował – mając w perspektywie *sobace* zabrał się za negocjacje.

Do Mos Eisley poleciliśmy o pierwszym zmierzchu, to jest, gdy zaszło pierwsze słońce. Pojazd był ciasny, ale za to nie rzucający się w oczy, co nam odpowiadało – w Mos Eisley obowiązywała stara zasada maskująca: jeżeli cię nie widzą, to do ciebie nie strzelają. Wlecieliśmy od strony południowego sektora, zgrabnie pilotowani przez pomarańczowego droida. Podobnie jak E522 nie miał ogranicznika, co skłaniało mnie do cieplejszych uczuć względem ich właścicielki.

Trzy piętra nad jedną z bezimiennych ulic portu rozblęły dwie lampy oświetlając szeroko otwartą śluzę, ku której skierował się nasz pojazd. Z poziomu ulicy prowadziła do niej rampa i schody, a nieco poniżej głównego wejścia widać było trzy wielkie iluminatory – najbardziej charakterystyczny element hotelu mieszczącego się w zwrakowanym statku kosmicznym. Jakiś dureń chciał tu zarobić. Jedna czwarta starego transportowca tkwiła we wszechobecnym piachu. Pełno tu było gruzu i kurzu nawianego przez ostatnie sztormy.

– Wysiadajcie panowie – zabręczał droid, lądując na rampie.

Wysiedliśmy, wyładowaliśmy z luku bagażowego instrumenty. Bagażu nie mieliśmy dużo, bo oprócz kostiumów wzięliśmy tylko po jednym ubraniu, pozostawiając resztę u Jabby. Ruszyliśmy do wnętrza.

Jaskrawe światło w holu o mało nas nie oślepiło, toteż dopiero po chwili, gdy wzrok się przyzwyczaił, zauważyliśmy strażnika-człowieka w pomarańczowym kombinezonie, który rozsiadł się niedbale w rogu. Po szefowej ani śladu, toteż straciłem do niej całą sympatię – może i ufała droidom, ale artystów traktowała niczym pomywaczy.

– Tędy proszę – nasz kierowca okazał się też przewodnikiem i poprowadził nas obok recepcji do schodów.

Recepcjonistka należała do nie znanej mi rasy, ale była nadzwyczaj atrakcyjna. Jej wielopłaszczyznowe oczy ślicznie błyszcząły.

Przyjęcie miało się naturalnie odbyć w słynnej kawiarni „Gwiezdna Komnata”, zajmującej prawie cały pokład. Konkretnie trzeci, licząc od góry. Ściany pokryto lustrzaną czernią,

podobnie jak podłogę, a wewnątrz ustawiono kilkanaście stolików, co na pierwszy rzut oka robiło imponujące wrażenie. Drugi rzut niestety ujawniał, że stoliki mają uszkodzone nogi, a spod czerni przebijają plamy bieli, którą pierwotnie pomalowano grodzie transportowca. Gości było niewiele i to zajętych obiadem, toteż zaczęliśmy od tego samego. Kilka minut później włączono projektory i koło głowy Figrina przemknęła kometa, odbijając się w mojej zupie.

Tu i tam pojawiły się hologramy stołów do *sabacca* i przypomniała mi się pewna plotka. Otóż podobno Jabba dopilnował, by konkurencja nie dostała zezwolenia na gry hazardowe, dzięki czemu Valarian musiała robić to nielegalnie i dopiero po zmroku. Podobno Jabba uprzedzał ją o planowanych nalotach policyjnych – za odpowiednią opłatą.

Figrinowi więcej nie było potrzeba do szczęścia – wyjął swoją talię i ruszył do gry. Dziś zgodnie z planem miał przegrywać. Pozostali dołączyli do meczu *schickele*, który odznaczał się niskimi stawkami i długością gry.

Natomiast ja znalazłem znużonego strażnika i wdałem się z nim w pogawędkę. Kubaz to doskonali strażnicy – ich długie, delikatne nosy rozróżniają zapachy równie skutecznie jak my rozróżniamy dźwięki, a zielono-czarna barwa skóry ułatwia rozplynięcie się w cieniu. W zamian za kufel średnio mocnego płynu dowiedziałem się, że nazywa się Thwirn urodził się na Kubindi i że oblubieniec, imieniem D'Wopp, jest doskonałym myśliwym, czego zresztą należało się spodziewać.

Przy okazji dostrzegłem też znajomą gębę. Nie tyle przyjazną, ile właśnie znajomą – Kodu Terrafin był kurierem między pałacem a domem Jabby w Mos Eisley. Jak każdy Arcona, wyglądał niczym brudny wąż z pazurzastymi kończynami i łbem jak kowadło. Wyróżniał się wśród pobratymców tym, że przeważnie paradował w kombinezonie pilota. Obserwowałem go kątem oka – łaził od stolika do stolika, najwyraźniej szukając kogoś znajomego. W pewnej chwili ślepa mu rozbłysły i ruszył w moją stronę.

– Figrin, to ty? – Najwyraźniej przedstawiciele mojej rasy miesza mi się dokładnie.

– Nie całkiem – odparłem zgodnie z prawdą.

– A, Doikh. Przepraszszszam – syknął. – Informacja na sssprzedaż. Gdzie Figrin?

Biorąc pod uwagę, czym akurat zajmował się Figrin, nie był to najlepszy czas, by mu przeszkadzać. Hazard podobno wciąga.

– Nie mam czasssu – dodał Kodu. – Jak go nie ma, to ty kup.

– Niech będzie. Dam dziesięć. – Figrin zwracał koszty, jeśli informacja była warta wysłuchania.

Thwirn zmarszczył wydatny nos – obok przemknął Jawa, więc ten odruch wydał się całkiem naturalny.

– Sssto – Kodu nawet się nie zawahał. No to zaczęliśmy się targować.

Po minucie stanęło na trzydziestu pięciu, więc przelałem mu kwotę z karty na kartę i spojrzałem wyczekująco.

– Jabba jessst zły.

– Na kogóż to tym razem? – spytałem niewinnie. – I dlaczego?

– Na wasss. Złamaliśście kontrakt.

Moje żołądki zawiązały się na ciasny węzeł: kto by pomyślał, że ten przerośnięty bęcwał zauważy naszą nieobecność? Meloman ze śluzu!

– Co zrobił? – spytałem, siląc się na spokój.

– Rzucił dwóch ssstrażników rancorowi. – Kody wzruszył kościstymi ramionami. – I obiecał nagrodę...

No, to zegnajcie nadzieje na spokojną starość. Na jakąkolwiek starość, prawdę mówiąc –

wieku mojej mamuśki, żyjącej w różowych bagnach Clak'dor VII, na pewno nie dożyję.

– Dzięki, Kodu – postarałem się, by brzmiało to szczerze.

– Cześć, Doikh. Powodzenia.

Skinąłem głową i zacząłem lawirować w stronę Figrina, wpatzonego jak w obrazek w krupiera tasującego karty.

– Kończ! – szepnąłem, ciągnąc go za kołnierz, by wyrwać z tego urzeczenia. – Złe wieści!

Poskutkowało – przeprosił pozostałych i wstał. Stwierdziłem, że jak się cały czas patrzy za siebie, to droga strasznie się wydłuża, ale Jabba miał zwyczaj płacić ekstra za martyrologię.

– Co jest? – spytał Figrin, gdy znaleźliśmy pusty stolik w pobliżu baru.

No to mu powiedziałem.

– Mamy instrumenty i ubrania – podsumował. – Ale ja przegrałem, zgodnie z planem...

A pieniądze były nam potrzebne bardziej niż zazwyczaj – choćby po to, by kupić żywność potrzebną na przeczekanie pierwszego entuzjazmu łowców skuszonych łatwym celem. Przypomniałem mu o tym, ale energicznie zaprotestował:

– Nie będziemy się kryć, tylko odlecimy z tej planety!

– A twój zapasik w pałacu?

– Nie jest wart życia. Jutro zaraz po ślubie wyruszamy. Potrzebujemy większej widowni, czas wrócić na ścieżkę sławy.

– I lepszego bufetu – dodałem z błyskiem w oczach. – Sławy nie da się zjeść.

– Ktoś dziś w nocy musi czuwać – zakończył Figrin. – Słyszałem, że zgłosiłeś się na ochotnika?

– No to... wezmę pierwszy dyżur.

Rano wstaliśmy niewyspani i zmęczeni. Po śniadaniu rozstawiliśmy się na estradzie kawiarni, a w jakiś kwadrans później zaczęli pojawiać się goście. Schodzili się, pelzali i przyczłapywali, ale nie wchodząc do środka – najwidoczniej powitanie młodej pary miało się odbyć w korytarzu. Thwim, tak jak mi wczoraj powiedział, obstawiał wolny (to jest nie przytykający do ścian) koniec baru, a służba panny młodej zastawiała stoly i ozdabiała jak mogła salę. Tak na wszelki wypadek rozejrzałem się po kawiarni – odkryłem dwie windy, wejście do kuchni i okrągły właz będący zapewne niegdyś wyjściem awaryjnym. Ciekawe, czy Whiphidy się całują – przy ich wystających kłach musiałoby się to odbywać z niezłym trzaskiem... Albo czy szczytując wznoszą okrzyk wojenny... Te rozmyślenia przerwały mi dobiegające zza drzwi windy wiwaty.

– Chyba się wreszcie pobrali – mruknął Figrin.

I faktycznie, do środka zaczął się wlewać tłum gości. Zagraliśmy wstępny kawałek, a zanim skończyliśmy, byłem mokry – nie od gorąca zresztą: wśród zbieraniny ras i gatunków, z których przynajmniej połowy nie byłem w stanie zidentyfikować, bez trudu rozpoznałem pół tuzina podwładnych Jabby. Coś mi jednak przestało pasować: nawet jeśli zaplanował dla nas wycieczkę do Wielkiej Dziury Carcoona, to przysłał w tym celu zdecydowanie zbyt liczną ekipę. Nagły błysk światła zwrócił moją uwagę. Przy wyjściu awaryjnym stał E522 z lśniącym, nowym uzbrojeniem i równie nowym i lśniącym ogranicznikiem, przymocowanym do metalowego torsu. Najwyraźniej zaufanie Val do droidów też miało swoje granice.

Do estrady podszedł młody człowiek w wyjątkowo czystym i całym ubraniu i pociągnął Figrina za nogawkę. — Zagrajcie „Tears of Aquanna”.

Figrin uwolnił nogawkę, więc człowiek skierował się ku mnie. Nie mając ochoty na wyciąganie spodni z jego rąk skinąłem głową i zacząłem. Skąd mogłem wiedzieć, że jakiś

lokalny gang przerobił ten utwór na swój nieoficjalny hymn? Kilkunastu z nich zebrało się przed estradą i zaczęli wyśpiewywać, że aż się słabo robiło. Słowa chyba sami wymyślili, bo rymu w tym nie było za grosz. Nim doszli do drugiej zwrotki, w ich (czyli w naszą) stronę ruszyła inna grupa z mocno skwaszonymi minami, wyraźnie wskazującymi, że nie są zadowoleni. Czym prędzej szturchnąłem Figrina, który równie szybko zmienił ton, dość nieortodoksyjnie, za to najszybciej jak się dało. Jeden ze śpiewających – no bo jakoś ten hałas trzeba było nazwać – spojrzał na nas wściekle, ale nim zdążył się odezwać, odepchnęła go ciemnoskóra samica ludzka z drugiej grupy i zażądała głosem idealnie pasującym do koloru skóry:

– Zagrajcie „Worm Casa”. Dla Fixera i Camie! Jak coś się gra sześćset pierwszy raz, robi się to odruchowo – tym razem jednak dokonaliśmy tak wariackiego skrótu, że sprawił nam autentyczną radość. Na szczęście nikt nie próbował niczego śpiewać.

Thwim, wraz z drugim strażnikiem, wyprowadzili oba gangi, a ja sprawdziłem, co porabiają podopieczni Jabby. Zebraли się w pobliżu baru i zabijali czas... chwilowo tylko czas.

Po kolejnym utworze mieliśmy przerwę, zgodnie z umową, toteż Figrin pognął do kart. Ja zostałem na estradzie, żeby nie wyglądało, że cały zespół sobie gdzieś poszedł. Niespodziewanie podszedł do mnie najbrzydszy chyba człowiek, jakiego w życiu widziałem. Masywny, ponury i z kubkiem w każdej dłoni.

– Nie wysuszyło cię? – spytał opryskliwie. – W tym jest ponck, w tamtym lum.

– Dzięki – sięgnąłem po ponck i duszkiem wypilem połowę.

– Smacznego – warknął i siadł na brzegu estrady, plecami do mnie nie do tłumu: taki odruch.

Zapanowała chwila ciszy – zastanawiałem się, czy jak go spytam o imię, to uzna to za uprzejmość, czy za obelgę.

– Dobra kapela – odezwał się w końcu. – Co robicie na Tatoonie?

– Dobre pytanie – ostrożnie postawiłem kubek obok Ommni. – Graliśmy w najlepszych salach sześciu systemów.

– W to mogę uwierzyć, naprawdę doskonale gracie, ale nie o to pytałem.

– To popatrz tam – wskazałem Figrina przy *holostole sabacca*. – Mieliśmy mieć tu przesiadkę i jakoś zostaliśmy na dłużej. A ty co tu robisz?

– Prowadzę bar niedaleko – ton zmienił mu się z czarnego na stalowoszary. – Nie jest łatwo, ale ktoś musi, bo inaczej te cholerne droidy będą wszędzie barmanami.

Gwizdnąłem cicho i słyszalnie dla niego. Droidy ułatwiały życie – ale nim mu to zdążyłem przypomnieć, dodał: – Trzymaj się mokro, przyjacielu.

I odszedł.

Ostrzegaliśmy, czy z natury był taki przyjazny? Rozejrzałem się za Thwimem, by go podpytać, ale nigdzie w pobliżu go nie było. A zaraz potem zjawił się Figrin i zajął rogim.

– Przegrywasz? – spytałem cicho.

– Już nie. Ale i nie wygrywam... Daj mi A.

Podaliśmy mu ton i zabraliśmy się do pracy. Przy pobliskim stoliku coś powoli, acz skutecznie zmieniło właściciela (tutejszym zwyczajem było unikanie gwałtownych ruchów), a potem w polu widzenia coś się pojawiło: coś niezgrabnego, wielkiego i brzydkiego jak nieszczęście. Była to spleciona w uścisku i opleciona girlandą zielska para Whipidów, udająca że tańczy. Dwa i pół metra kłów, pazurów i żółtawego futra – nawet stojąc na estradzie byłem od nich niższy. D'Wopp wgapiął się w szerokie, skórzaste oblicze lady Valarian z taką intensywnością, że omal nie rozdeptał krzesła i siedzącego na nim kupca. Ten miał refleks, toteż zdążył uskoczyć, a młodożeńcy siedli przy sąsiednim stole i zaczęli wyplątywać się z zielonych girland.

Udawałem, że przyglądam się parkietowi, ale naprawdę obserwowałem jednego

z rzezimieszków Jabby. Anemiczny, szaroskóry Duro wędrował w naszą stronę... sam. Przez parkiet przewirowało trio Pappfaków, splecionych turkusowymi mackami w jedną całość, i omal nie przewróciło się o małego droida, toczącego się ku lady Val. Ta widząc go wstała, poklepała D'Woppa po masywnym łbie i w ślad za droidem pomaszzerowała do kuchni. Czerwone oczka Duro zapłonęły na ten widok – omijając bokiem tańczących zbliżył się do D'Woppa, stanął, skłonił się i wyartykułował przez gumowe wargi:

– Doobre łoowoy?

I wyciągnął do Whiphida wąż i cienką górną kończynę. Ten złapał go za ramię i warknął:

– Wytlumacz no, o co ci chodzi, albo moja pani dostanie na śniadanie twoje pieczone zebra!

– Bez oobrazy – Duro aż się skurczył. – Nie miałem na myśli twojej pani. Móóówię dooo D'Wooppa, łoowoy nagróóód ooo wielkiej reputacji, tak?

D'Wopp puścił go i wyprostował się.

– To ja – oznajmił dumnie. – Chcesz się kogoś pozbyć?

Odetchnąłem nie przestając grać. I słuchać, ma się rozumieć.

– Czy twoja noowa pani dała ci już jakąś prooopozycję? – spytał Duro.

– Mów jaśniej!

– Na Tatoooooine jest większy szef niż lady Valarian. Lady Val płaci mu za oochronę. Whiphid, któóóry naprawdę kooocha łoowoy, nie zadoooowooli się drooobnicą. Móóój pracooodawca właśnie wyznaczył rekooodową nagrooodę. Prawdooopoodoobnie w tej chwili nie szukasz pracy, ale takie oookazje rzadkooo się trafiają...

A więc o to chodziło! O skłócenie Val ze współmałżonkiem i zepsucie całego wesela. Z wrażenia sfalszowałem kolejną frazę i przypomniałem sobie czym prędzej, że nami Jabba będzie miał czas zająć się później. Lady Val była zdecydowanie ważniejsza.

– Nagroda? – zainteresował się D'Wopp. – Za kogo?

– Nazywa się Sooolooo. Zwykły przemytnik, ale zdenerwoooował szefa. – Duro znowu wzruszył ramionami. – Szef ma znacznie więcej wrogóóów niż lady Valarian. Mam roozumieć, że szanoowny D'Wo-ooop jest zainteresoowany?

– Rekordowa nagroda, powiadasz?

Duro zniżył głos, toteż nie usłyszałem, ile konkretnie wynosi nagroda; sądząc jednak po szybkości, z jaką D'Wopp się zerwał, musiała być faktycznie spora.

– Powiedz twojemu szefowi, że D'Wopp dostarczy mu ciało. Wtedy się spotkamy.

Solo... według Figrina jak na człowieka niezłe grał w *sabacca*. Teraz interesował mnie o tyle, że nieświadomie uratował mi życie – listy poszukiwanych przez Jabbę były zazwyczaj krótkie.

– Nie zostaniesz na uroooczystości? – pisał Duro.

– Będziemy świętowali mój powrót w sławie – warknął D'Wopp. – Ona jest Whiphidem. Zrozumie.

Lady Val pojawiła się na sali i Duro zniknął niczym kostka lodu na wydmie. A ja wstrzymałem oddech, mimo iż Figrin zaczął grać coś, czego nie znałem. Jakoś mi się wydawało, że szanowny D'Wopp źle ocenił swoją małżonkę. Na potwierdzenie nie musiałem długo czekać: dobiegły mnie pojedyncze słowa z rozmowy nowożeńców, potem wrzaski w niezrozumiałym języku i krótki, bojowy ryk. A w końcu nasza kochająca się para ruszyła na siebie z pazurami, i to na parkiecie. Omal się nie potknąłem o Ommni, zaś Figrin o milimetry uniknął ciosu Fanfarem.

Tłum zebrał się natychmiast, co w Mos Eisley stanowiło normę, a przy entuzjastycznym udziale podwładnych Jabby zamieszanie miało szansę rozszerzyć się z szybkością burzy

piaskowej. Już trzej najbliżsi współpracownicy lady Val włączyli się do walki, a na gwizd D'Woppa para młodych Whiphidów zrobiła to samo. Podwładni Jabby wepchnęli od tyłu grupę widzów w tłum i nie było co się łudzić, że na tym poprzestaną. Gospodyni wrzasnęła i wszyscy mający pretensje do Jabby dołączyli do zamieszania, rozbierając krzesła, stoły i co tam było pod ręką.

– Dziękujemy państwu – oznajmił gładko Figrin, pochylając się nad Ommni i przerywając w półtaktu.

Ledwie go było słyszeć. Wychodziło, że zrobił nam się wieczorek taneczno-boksyerski, toteż nie było na co dłużej czekać. Tech wyjątkowo przytomnie zajął się rozłączeniem aparatury, a ja właśnie sięgnąłem po futerał, kiedy w głównym wejściu dostrzegłem białe, znane aż za dobrze sylwetki. Szturmowcy!

Nikt nie był w stanie wezwać ich tak szybko. Prawdę mówiąc większość była zaskoczona ich obecnością – nie wyłączono nawet holograficznej ruletki. Nasuwał się prosty wniosek: ich obecność była zasługą Jabby, który w dodatku nie uprzedził o tym gospodyni.

– Tylne wyjście! – Figrin zeskoczył z estrady, zanurkował pod morderczym sierpowym jakiegoś człowieka i kopem w kolano usunął go z drogi.

W ślad za nim posuwaliśmy się wzdłuż ściany, przyciskając kurczowo do piersi instrumenty. Bez nich nie mieliśmy szans się utrzymać. W najbliższej grupie walczących dostrzegłem Thwina, z wprawą powalającego kolejnych przeciwników.

– Pomóż nam! – krzyknąłem. – Nie mamy broni!

Najpierw w moją stronę skierował się jego nos, potem cały Thwin, a jeszcze później wylot blastera. Do dziś nie wiem, dlaczego strzelił. Tech zawył i puścił instrument, a Nalan znurkował w tłum. Po sekundzie wyłonił się z ręką wykręconą pod dziwnym kątem, ale z dwiema Fanfarami w drugiej. Złapałem go za zdrowe ramię i pociągnąłem ku włazowi awaryjnemu, przed którym parkował E522 i beznamietnie rozwaliał każdego, kto się zbliżył. Figrin na ten widok stanął jak wryty, Tech wpadł na niego, a ja nawet nie zwolniłem kroku przemykając obok. – Za nami rozpętała się regularna bitwa, jako że goście broni mieli aż nadto (co prawda nie rejestrowanej, ale w pełni sprawnej), a szturmowcy nie zaliczali się do cierpliwych celów. Ponieważ zawsze wolałem droidy od innych istot rozumnych, najspokojniej jak potrafiłem podszedłem do zabójcy.

– Doikh! – jęknął Figrin. – Wracaj...

E522 nie strzelił, najwyraźniej nadal miał nas w pamięci jako współpracowników właścicielki. – Przepuść nas – powiedziałem, choć nie wypadło to zbyt przekonująco, bo właśnie coś przeleciało mi z gwizdem nad głową.

– Zamknijcie za sobą właz – odparł.

– Jazda! – poleciłem pozostałym.

Figrin pod moim ramieniem dopadł włazu, otworzył go i zniknął po przeciwnej stronie. Pozostali poszli w jego ślady. Widząc dzienne światło wpadające przez uchylony właz, w jego kierunku rzuciła się cała kupa stworzeń. Był między nimi masywny barman. Zawahałem się: choćby za ten ponck byłem mu coś winien, a E522 już zaczął eliminować nadbiegających.

– Nie strzelaj do tego człowieka! – poleciłem mu, ale bez skutku: mógł mnie wprawdzie rozpoznać, ale słuchanie moich poleceń przy działającym ograniczniku to by już była przesada.

Barman widząc wycelowany w siebie needler padł na ziemię z zadziwiającą przy jego posturze zwinnością i wrzasnął:

– Jedź po sopranach!

Brzmiało to wariacko, ale bez dwóch zdań skierowane było do mnie, toteż uniosłem

pozbawiony futerału Fizzz i cały oddech władowałem w gamę wysokiej tonacji, dochodząc prawie do ultradźwięków. Któryś z tonów musiał mieć tę samą częstotliwość co kontrolujący ogranicznik sygnał, gdyż E522 nagle się wyłączył. Barman zerwał się czym prędzej i dobiegł do mnie.

– Pieprzone droidy! – mruknął, ocierając krew z nosa. – Cholerne, śmierdzące droidy!

Prawie równocześnie wypadliśmy na zewnątrz, ale ja byłem nieco szybszy. Trafiliśmy na wąską półkę z duracretu, skąd do ziemi prowadziła licząca trzy piętra metalowa drabinka. Nie zwlekając, zacząłem po niej schodzić. Figrin ku memu zaskoczeniu był już na dole – właśnie zeskakiwał z ostatniego szczebla. Drabinka zatrzęsa się; barman poszedł w moje ślady, a w otwartym włazie pojawił się kowadłowy łeb jakiegoś Arcony.

Nim dotarłem do ziemi, drabinka wpadła w szalony dygot, tyłu się po niej naraz ewakuowało. Jakim cudem nie upuściłem instrumentu, nie wiem do tej pory, ale jakoś dotarliśmy na ziemię i do pozostałych czekających za rogiem. Zaczynał się kolejny upalny dzień.

– I co teraz? – jęknął Nalan, tuląc do siebie złamaną rękę. – Bez kredytów za ten występ nigdy stąd nie odleciemy.

– Trzy tysiące... – zawtórował mu Tech. – Trzy tysiące szlag trafił...

– Nie tylko – poinformowałem go rzeczowo, oglądając Fizzz: wyglądał na nie uszkodzony.

– Figrin wczoraj prawie przegrał naszą rezerwę finansową, zgodnie z planem, by dziś tym więcej wygrać. Tylko nie zdążył, prawda, Figrin?

Barman przemknął obok nas.

– Za mną! – rzucił przez ramię nie zwalniając kroku.

– Nie możemy ci zapłacić za schronienie! – wrzasnąłem, ruszając jednak za nim. – Nie mamy czym!

– Za mną – powtórzył nieco spokojniej. – Może będę miał dla was robotę!

Maszerując za nim ulicą, a potem alejką, przetrawiałem jego słowa. Wolalbyśmy szufłować piach, niż cokolwiek robić dla człowieka, ale on nie był właścicielem knajpy, w której pracował. Jak zdążyłem się zorientować, właścicielem lokalu zwanego „Kantyna” był starszy wiekiem Wookie imieniem Chalmun. I to on właśnie proponował nam dwuletni kontrakt.

Kontrakt podpisaliśmy w biurze właściciela, mimo moich zastrzeżeń, że miejsce jest zbyt uczęszczane i Jabba na pewno nas tam znajdzie. Figrin przekonał mnie argumentem, że będziemy tam grali tylko tak długo, dopóki nie zarobimy na transport poza planetę. Może nie było to zbyt uczciwe, ale w końcu chodziło o nasze głowy.

Zamieszkaliśmy w izolowanych Pokojach Ruillii, wychodząc jedynie po to, by grać. Zdążyłem zaprzyjaźnić się z barmanem – nazywa się Wuher. Solo ograł Figrina, w *sabacc* więc jeszcze żyje, za to D’Woop wrócił do domu w kawałkach. Lady Valarian nadal jest samotna i wygląda, że tak już zostanie. A ja za każdym razem, gdy zaczynamy grać, przyglądam się uważnie gościom. Właśnie wszedł ten zielony Rodianin, Greedo. Amator, nie łowca, ale Jabba używa go na posyłki. Głupi i uzbrojony...

Na wszelki wypadek nie będę go spuszczał z oka.